

Alexandra Reinwarth



NOWA
KSIĄŻKA AUTORKI
BESTSELLERA
Pieprzyć to!

Dead- line

PRZEŻYJ
TEN ROK,
JAKBY MIAŁ BYĆ
TWOIM OSTATNIM



Alexandra Reinwarth

Deadline

**PRZEŻYJ TEN ROK, JAKBY MIAŁ BYĆ
TWOIM OSTATNIM**

tłumaczenie **Łukasz Kuć**



OTWARTE

KRAKÓW 2021

Tytuł oryginału: *Das Leben ist zu kurz für später. Stell dir vor,
du hast nur noch ein Jahr – ein Selbstversuch, der dein Leben
verbessern wird*

First published as *Das Leben ist zu kurz für später*
by Alexandra Reinwarth
© 2018 by mvg Verlag, Münchner Verlagsgruppe GmbH,
Munich, Germany
www.mvg-verlag.de
All rights reserved

Copyright © for the translation by Łukasz Kuć

Wydawca prowadzący: Ewelina Tondys

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Eliza Luty

Przyjęcie tłumaczenia i adiustacja:
Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Korekta: Maria Armata / Wydawnictwo JAK,
Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Adaptacja makiety i łamanie:
Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Fotografia na s. 294: copyright © Alexandra Reinwarth

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia autorki: © Arturo Martínez

ISBN 978-83-8135-046-4


OTWARTE
www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie 9

Deadline 25

Wszystko, co chciałabyś zrobić,
ale nie pozwala ci duma.

Wszystko, co chciałabyś zrobić,
ale nie pozwala ci wstyd 35

Przyjaciele 67

Pułapki i upadki 87

Praca 107

Dzieci i czas	125
Doprowadzać sprawy do końca	141
Przebaczenie	155
Jak chcemy żyć	181
Być sobą. Kim jestem i kim chciałabym być	199
Pokaż swoją ranę	217
Pieniądze	237
Czynić dobro	253
Kobieta (nie)idealna	271
Pozwólmy sobie na błędy	279
Na zakończenie	295
Posłowie	301

*Dla Danieli i Lotty, i Saskii,
dla L., dla Evy, dla Nika i Hannesa,
dla Olego, Petry, Koppiego i Tassa,
dla Ramóna i Sabine, i Lucy, i Nadj*

**Masz tylko dwa życia. Drugie zaczyna się
w chwili, gdy odkrywasz, że jest tylko jedno.**

WPROWADZENIE

Jest ranek, nazajutrz po mojej śmierci. Budzę się i jestem szczęśliwa.

Z kuchni dobiegają głosy Dziecka i L., w powietrzu unosi się zapach kawy. To nie jest jakiś szczególny dzień, zwykły piątek. Za oknem szaro i mży. Słyszę, jak Dziecko grymasi:

– Ale JA CHCĘ nutellę!

Normalnie naciągnęłabym teraz kołdrę na głowę, zirytowana marudzeniem Dziecka i zdołowana fatalną pogodą.

Ale dziś nic nie jest „normalnie”, bo wczoraj miałam umrzeć, a jednak cudownym zrządzeniem losu dziś znowu się obudziłam. Mam jeszcze jeden dzień. A potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, i tak dalej – o ile nie wydarzy się nic złego. Zobaczę, jak Dziecko dorasta, znowu nacieszę się wiosną, przytulę najbliższych i jeśli tylko zechcę, mogę adoptować jeszcze setkę psów, otworzyć kwiaciarnię,

pojechać do Meksyku, a nawet nauczyć się piec te przepyszne ciasteczka. Albo języka migowego. Mogę to zrobić, bo wciąż żyję. (Przy okazji: ty też masz to szczęście). Jak to się stało, że w ten ponury, deszczowy dzień leżę w łóżku i czuję się niewyobrażalnie szczęśliwa? O tym właśnie chcę ci opowiedzieć. Jest to rezultat pewnego myślowego eksperymentu, który rozpoczęłam mniej więcej rok temu.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Bywają takie tygodnie, że wszystkiego się odechciewa. Dziecko co rano się guzdrze, w pracy urwanie głowy, mąż zapomniał zapłacić mandaty, więc wlepiają ci grzywnę, a na koniec jeszcze nawala drukarka. Druga w tym roku. Aha: komputer padł, a ostatnia kopia zapasowa jest z pięćsetnego roku przed naszą erą.

Tak, zdarzają się takie tygodnie. Jak dla mnie – zbyt często.

„Wreszcie piątek!”, mówię, kiedy się kończą, i w duchu podrzucam konfetti z radości, że zaczyna się weekend. Tydzień odpajkowany, można sobie pogratulować. A potem razem z podobnie myślącymi koleżankami i kolegami pójść na piątkowe prosecco.

Ktokolwiek wprowadził ten zwyczaj w niemieckich biurach – niech będzie błogosławiony na wieki! Możemy uczcić fakt, że przetrzymaliśmy cały tydzień. Kolejny. I teraz przez dwa dni młodszy z nas mogą robić, co im się żywnie podoba, a ci, którzy mają rodziny, załatwić to, co przez tydzień leżało odłogi. W poniedziałek rano wstaniemy z łóżek i ziewając, prawie utoniemy pod prysznicem, po czym spotkamy się znowu, by z utęsknieniem wyczekiwać fajranta, następnego weekendu, urlopu, a ci najbardziej zdesperowani – emerytury.

Tak, codzienność potrafi dać w kość. A wtedy wystarczy zdradliwy tekst w stylu: „Pamiętasz, jak chcieliśmy być dorośli i robić te wszystkie fascynujące rzeczy?”, i zaraz zaczynam smętnie rozmyślać, gdzie to podziały się wielkie marzenia i wzniosłe cele. I jak się wydostać z tego wiru banalnych spraw, szarej codzienności i przeciętności. Przecież nie tak dawno ze śmiertelną powagą pisałam w swoim pamiętniku: *carpe diem*. Zresztą ten tekst wciąż tam widnieje, tyle że wyłącznie „w teorii”, bo o tym, żeby naprawdę tak żyć, nie ma mowy. Mimo to czuję satysfakcję, że jako tako radzę sobie z tym szarym, zwyczajnym życiem, i cieszę się drobiazgami:

niedziela w łóżku, uśmiechem, dobrym jedzeniem i własnoręcznie namalowanym portretem Dziecka. Lecz wtedy z radia dobiega tekst piosenki: „Nie byłem nigdy w Nowym Jorku, nie byłem nigdy na Hawajach, nie chodziłem po ulicach San Francisco w poszarpanych dżinsach...”. Zaczynam nucić pod nosem i nagle dociera do mnie, że ja też tam nigdy nie byłam! Najdalej dotarłam na Krete, a najbardziej szalona z moich przygód polegała na tym, że nie zarezerwowaliśmy hotelu i musieliśmy szukać pokoju na miejscu. Tak zwany puls życia zamienił się w monotonny szum, który mnie uspokaja i powoli usypia.

Oczywiście sama jestem sobie winna, że wiem takie przeciętne, bezpieczne życie. Przecież to ja podejmuję decyzje, które nadają mu kształt. Owszem, niektóre z nich są genialne – na przykład wybór mężczyzny, z którym je dzielę, albo Dziecko. I muszę powiedzieć, że mam szczęście, bo wiele kobiet trwa w związku z facetem tylko dlatego, że przeraża je wizja samotności.

Jeśli chodzi o decyzje zawodowe... No cóż, w tej materii zbyt często moim doradcą był strach: lepiej nie ryzykuj, lepiej nie rezygnuj z bezpiecznej posadki, lepiej nie podejmuj wyzwania, które cię może przerosnąć. Zresztą zazwyczaj nie robię tego,

co chcę, tylko to, za czym przemawia najwięcej rozsądnych argumentów. Do tego stopnia, że czasem nie jestem nawet w stanie powiedzieć, czego tak naprawdę bym chciała.

Siedzę przy kawie z mlekiem w Café Einstein i opowiadam o tym wszystkim swojej przyjaciółce Janie: peroruję o życiu i tłumaczę, że powinnam się przestać zamartwiać tym, co nieistotne, a skupić się na sprawach naprawdę ważnych. I wtedy moja towarzyszka w jednej chwili kładzie kres tym lamentom.

– Ty to masz problemy – mówi, kręcąc głową. – Wczoraj spotkałam Nadję. – Jana spuszcza wzrok i głęboko wzdycha. Nadja była jej opiekunką na studiach, a z biegiem lat stała się najbliższą przyjaciółką. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że ma iść na kontrolę?

W oczach Jany błyskają łzy i już wiem, co za chwilę powie.

– Nie! – Potrząsam głową i biorę przyjaciółkę za rękę.

– Niestety... – Jana pociąga nosem i spogląda mi w oczy.

Rak piersi. Nadja już raz go pokonała, ale po latach drań wrócił.

Tego wieczora wyjątkowo długo i mocno tulię swego zdeorientowanego mężczyznę i wyrrywające się Dziecko („Heeej!”). Wszyscy jesteśmy zdrowi – i to najważniejsze. Reszta to szczegóły.

– Cieszę się, że was mam – szepczę im do ucha i jeszcze raz oboje ściskam („Heeej!”). – Kocham was.

Wiem, że mówię im to o wiele za rzadko.

Oczywiście, wszyscy wiemy, jaki jest kres życia, lecz w codziennym zabieganiu wciskamy tę wiedzę w najbardziej odległy zakamarek mózgu – tak żeby w razie potrzeby była pod ręką, ale żebyśmy się o nią bez przerwy nie potykali. A potem żyjemy, jakbyśmy byli nieśmiertelni. Dopóki przyjaciółka nie zachoruje albo kolega nie zostanie ciężko ranny w wypadku. Wtedy do nas dociera, że owa nieśmiertelność to tylko złudzenie.

Kiedy tego wieczora opowiadałam L. o spotkaniu w Café Einstein, przypominamy sobie wspólną kolację u Jany, podczas której Nadja skarżyła się, że z powodu pracy prawie nie widuje dzieci – i że nic nie może na to poradzić, bo pensja jej partnera nie wystarczy na spłatę hipoteki.

– Że też nie mogła spędzić więcej czasu z dziećmi – wyrывa mi się. Nie z przyganą, tylko z prawdziwym żalem.

– A hipoteka?

– Pieprzyć ją! – stwierdzam stanowczo. A potem przypominam sobie o podróży dookoła świata, którą Nadja planowała jeszcze na studiach, a której nigdy nie odbyła, bo nie dostała bezpłatnego urlopu. I o psie, o którym zawsze marzyła, o hoteliku, który chciała otworzyć gdzieś na południu, i o tym, że w skrytości pragnęła, by jej przyjaciel i ojciec jej dzieci poprosił ją kiedyś o rękę.

– Dlaczego mu o tym nie powiedziała? – pyta L. i spogląda na mnie zdumiony.

– Pewnie chciała, żeby sam jej się oświadczył. To bardziej romantyczne, niż gdyby to ona zaproponowała małżeństwo.

Na chwilę zapada dziwna cisza, w trakcie której L. z pewnością się zastanawia, czy ja też tego pragnę. Oboje w zakłopotaniu wlepiamy oczy w stół.

– Ty też kiedyś chciałaś otworzyć hotelik na południu, pamiętasz? – Na szczęście L. zręcznie zmienia temat. Uśmiecham się, bo ma rację: chciałam. – I co? Nadal o tym myślisz?

– To najpiękniejsze, co mogę sobie wymarzyć – odpowiadam z rozbrajającą szczerością. A gdyby kto pytał, dlaczego jeszcze nie siedzę na składanym krzeselku przed własnym bed & breakfast, pływając się w słońcu i sącąc campari orange, to odpowiadam: bo mam pracę, mam L. i Dziecko i na samą myśl o tym, ile wysiłku musiałabym włożyć w realizację tej wizji, czuję, jak na czoło występują mi krople potu. Odpędzam natrętny obraz, spoglądam na L. i odwracam kota ogonem:

– A ty? Co byś zrobił, wiedząc, że zostało ci niewiele czasu?

– Na pewno nie robiłbym afery z powodu kilku mandatów. – W pierwszym momencie L. próbuje się wymigać od odpowiedzi.

Ale po chwili robi się poważnie, bo świadomość tego, że kiedyś przyjdzie nam pożegnać się z tym światem – i to definitywnie – pomaga uporządkować wszystkie sprawy. Kiedy moment tego pożegnania przestaje majaczyć w bliżej nieokreślonej, dalekiej przyszłości i staje nam przed oczami, wówczas okazuje się, co naprawdę jest ważne i warte naszej energii i czasu. Krótko mówiąc, rodzi się szereg pytań: gdybym wiedziała, że zostało mi tylko kilka miesięcy życia, to czy podjęłabym te same decyzje, które podejmuję, nie mając tej świadomości?

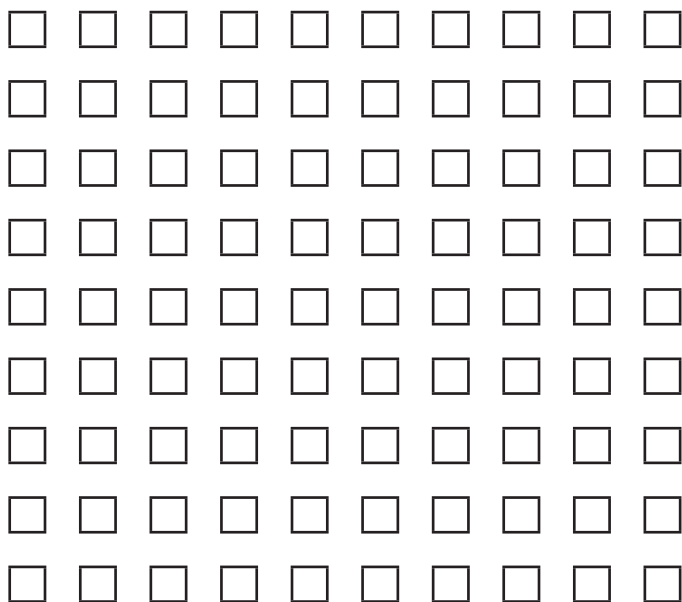
Czy denerwowałyby mnie te same sprawy? Czy robiłabym to, co robię dzisiaj? Z kim spędzałabym czas? I jak? Co chciałabym koniecznie zrobić, a co odpuszcilibym sobie jako niewarte zachodu? Czy u kresu swych dni byłabym szczęśliwa z tego powodu, że mam wysprzątane mieszkanie i zawsze wszystko oddawałam w terminie? I dlaczego nie zadajemy sobie częściej pytania: co naprawdę jest ważne?

Nie do wiary, jak szybko tracimy z oczu to, co istotne. Odhaczamy kolejne tygodnie, a na koniec i tak chcielibyśmy, by los darował nam jeszcze trochę czasu.

Absurdalność tej sytuacji dotarła do mnie, gdy pewnego listopadowego dnia moja matka powiedziała: „Kiedy jest taka gówniana pogoda, myślę tylko o tym, żeby ten dzień jak najszybciej się skończył”. A trzeba wiedzieć, że tam, gdzie mieszka moja rodzicielka, pogoda z reguły jest gówniana. Bo Ratyzbona jest wprawdzie piękna, ale leży w kotlinie i otacza ją mnóstwo wody w postaci rzek, wskutek czego od jesieni aż do maja miasto bez przerwy okrywa pierzyna mgły. A wtedy moja matka – i tak z natury nieruchawa – naprawdę siedzi na sofie i czeka, aż dzień dobiegnie końca. Przecież

to okropne, zwłaszcza gdy sobie uzmyslowimy, że nasze życie tak naprawdę jest przeraźliwie krótkie.

Dlatego pozwól, że coś ci narysuję*.



Ten rysunek przedstawia lata, które składają się na życie dziewięćdziesięciolatka (statystycznie rzecz biorąc, mężczyzna przeżywa w Niemczech

* Dla uważnych: tak, użyłam już tej grafiki w książce *Ich bin nicht alt, nur schon sehr lange jung*. Przy okazji: to świetna książka.

przeciętnie siedemdziesiąt osiem lat, a kobieta osiemdziesiąt cztery). Gdy skreślisz lata, które już „odfajkowałaś”, zostaną ci puste kratki – to czas, który ci jeszcze pozostał, potem umrzesz. Pomyśl zatem i odpowiedz sobie na pytanie: kiedy dojdiesz już do ostatniej kratki – a może ona wypaść dużo wcześniej, niż wskazuje statystyka – to jakich nie-zrealizowanych planów najbardziej będzie ci żal?

Carlos Castaneda* stwierdził kiedyś, że śmierć to nasz jedyny mądry doradca. Przekładając to na język praktyki: kiedy nie jesteś pewna, jaką podjąć decyzję, wyobraź sobie, że niedługo umrzesz. To nie-samowicie wyostrza ogłód spraw.

Zatrzymaj się zatem na chwilę, odłóż tę książkę i wyobraź sobie, że wkrótce odejdiesz z tego świata. Jak oceniasz swoje dotychczasowe życie? Nie spiesz się z odpowiedzią. Na szczęście masz czas.

.....

.....

...

.

* Carlos Castaneda zasłynął w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku jako autor książek o tematyce duchowej, w których przedstawiał nauki rzekomego szamana z indiańskiego plemienia Yaqui.

Czy jesteś zadowolona ze swoich dotychczasowych decyzji?

A kiedy patrzysz w przyszłość: czy jesteś zadowolona z tego, jak spędzasz czas? I z kim? Do kogo chcesz zadzwonić i co chciałabyś mu/jej powiedzieć? Czy wściekałabyś się na koleżankę (głupia krowa!), która zawsze... No i co z marnowaniem czasu? Czy poszłabyś na spotkanie klasowe, na które nie masz ochoty iść? A jeśli nie, to co chciałabyś zrobić zamiast tego?

Albo zapytam jeszcze inaczej: jak zmieniłoby się nasze życie, gdybyśmy podejmowali decyzje z myślą, że jutro może być nasz ostatni dzień? Albo że został nam ostatni miesiąc, ostatni rok? Gdybyśmy przestali trwonić czas, tłumacząc sobie, że przecież mamy go jeszcze mnóstwo? I dlaczego odpowiedzi na pytanie „co jest ważne?” brzmią zupełnie inaczej, kiedy się zastanowimy, na czym nam tak naprawdę zależy w życiu? Przecież raz po raz doświadczamy tego, że tak naprawdę jesteśmy szczęśliwi wówczas, gdy podejmujemy właściwe decyzje i robimy to, co jest dla nas naprawdę istotne, a nie:

- to, czego się najmniej boimy,
- to, co wydaje się najbardziej korzystne,

- to, co nam przychodzi najłatwiej,
- to, czego oczekuje rodzina,
- albo religia, partia, szef czy ktokolwiek inny.

Jeśli spokojnie zagłębisz się w lekturę tej książki i wyobrazisz sobie, że twoje życie może się wkrótce skończyć, wówczas z pewnością zauważysz, że zmienia się hierarchia spraw, ludzi i czynności. I to zmienia się we właściwy sposób, bo nagle zaczniesz działać tak, jak naprawdę czujesz. Bez żadnych „ale” i „jeśli”, bez lęku. Tak, jak p o w i n n a ś. Jak dyktuje ci serce.

Taki jest początek. Początek mojego końca.

Jeśli czytałaś już którąś z moich poprzednich książek, zapewne domyślasz się, co teraz nastąpi: powiem „sprawdzam” i wypróbuję swoją teorię w praktyce. A zatem sprawdzam, a ty obserwuj. Może znajdziesz dla siebie jakąś inspirację, kiedy ja spróbuję

PRZEŻYĆ TEN ROK W TAKI SPOSÓB,
JAKBY TO BYŁ OSTATNI ROK MOJEGO ŻYCIA,
PONIEWAŻ:

Życie jest za krótkie, by mówić „potem”.

Wcześniej jednak ważna uwaga:

W następnych rozdziałach opisuję, w jaki sposób zmienia się życie. Nie chodzi w nich o śmierć ani umieranie. W żadnym wypadku nie chcę tym eksperymentem nikogo urazić, zwłaszcza tych, którzy stracili bliskich lub których krewni bądź przyjaciele cierpią na nieuleczalną chorobę. Ja również znam wiele osób, które straciły najbliższych, czasem zupełnie nieoczekiwanie – wskutek wypadku, nagłej choroby, a nawet samobójstwa. Nie napisałam tej książki na przekór tym ludziom i ich historiom, ale ze względu na nich. Ponieważ prawdziwy hołd składamy im wtedy, gdy szanujemy i doceniamy życie, kiedy je celebруемy i każdego dnia jesteśmy za nie wdzięczni. Bo mamy możliwość zmienić swoje życie, zanim będzie za późno.

Zatem do dzieła.

DEADLINE

Zamysł jest taki: będę żyć tak, jakbym miała deadline. Konkretną datę śmierci. Precyzyjnie ustaloną, namacalną, w niedalekiej przyszłości – nie tę prawdziwą, której nie znamy i o której nie pamiętamy, ponieważ wypada „kiedyś”, a o każdym „kiedyś” zapominamy.

Niech będzie na przykład 15 lutego. Dzień dobry jak każdy inny, tak mi akurat przyszło do głowy. A więc 15 lutego przyszłego roku moje życie niestety dobiegnie końca. Zostaje mi niecały rok. Pierwsza myśl, jaka mi zaświtała, gdy ustaliłam tę datę, brzmiała:

„Masz ostatnią szansę świętować walentynki. Wypadają dzień wcześniej”.

A zaraz potem pomyślałam:

„Co za okropna pierwsza myśl”.

Do tej pory nigdy nie obchodziliśmy z L. walentynek. Nie dawaliśmy sobie prezentów, nie

wysyłaliśmy kartek, nie chodziliśmy na uroczyste kolacje. Po prostu ignorowaliśmy to okropne, kiczowate, importowane święto amerykańskich nastolatków. Tak jak nie chodziliśmy w Halloween przebrani po sąsiednich domach, by wymuszać od sąsiadów słodycze (choć po głębszym namyśle muszę stwierdzić, że to w sumie byłoby dużo fajniejsze święto, gdybym koniecznie musiała wybierać).

Ale ponieważ następne walentynki mają być dla mnie ostatnimi, moje obiekcje przyskają jak bańka mydlana. To dopiero za rok, ale już wiem, że tym razem chcę dostać balonik w kształcie serca, prezenty i kwiaty. I chcę zjeść romantyczną kolację przy świecach. Chcę, żeby wszystko odbyło się, jak należy.

Czy to pierwszy efekt ustalonego deadline'u? Hmm. Może być naprawdę wesoło!

– Co byście zrobili, gdyby został wam, dajmy na to, rok życia? – pytam tego wieczora Janę i Anne. Jana i Anne to moje przyjaciółki i jak co tydzień siedzimy w Café Einstein. Zwykle w taki wieczór wypijamy jedną czy dwie (no dobrze: cztery, co najmniej) lampki wina, zwierzamy się ze wzlotów i upadków ostatnich dni i zrywamy boki ze śmiechu. Takie humorystyczne podsumowanie tygodnia,

w dodatku przy alkoholu, więc jeśli spodziewasz się w tym miejscu głębokich, wzruszających i łązawych odpowiedzi, możesz spokojnie pominąć następne strony.

– No więc? – pytam, na co moja kochana Anne rzuca bez namysłu:

– Pojechałabym do Disneylandu!

Jana i ja przez dłuższą chwilę gapimy się na nią oniemiale, więc Anne w końcu przerywa ciszę i zaczyna się niezadarnie tłumaczyć.

– No co? – jąka się. – Zawsze lubiłam filmy Disneya.

Po tych słowach wlepiamy w nią wzrok z jeszcze większym zdumieniem.

Musisz bowiem wiedzieć, że Anne jest najbardziej uduchowioną, zbzikowaną na punkcie ezoteryki i wyrafinowaną osobą, jaką znam. Jej domena to aniołowie, spreje wzmacniające aurę, szamańskie tańce i kryształy do pracy z czakrami. Jeśli chcesz, o wszystkim tym możesz z nią dyskutować bez końca. A jeśli nie chcesz, możesz ją po prostu przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza – czytaj: aniołami, sprejami i czakrami – bo jest szalenie ciekawą osobą. Być może też znasz kogoś takiego.

Tak czy siak, wyznanie Anne, że chciałaby pojechać do Disneylandu, brzmi absurdalnie. To tak,

jakbym ja powiedziała, że moim marzeniem jest przemierzyć na piechotę Pireneje. Boso. W zimie.

– Który film lubisz najbardziej? – Jana uśmiecha się szelmowsko i twarz Anne robi się lekko czerwona.

– *Mała syren...* – Wielbicielka Disneya urywa w pół słowa, bo Jana i ja parskamy śmiechem.

Dzięki Bogu Anne nie obraża się na nas śmiertelnie. Być może dlatego, że za chwilę każda z nas rzuca pomysł, który wywołuje salwę śmiechu: Jana, gdyby miała kopnąć w kalendarz (i tylko wówczas), zaczęłaby zabójczo przystojnego faceta, którego codziennie widuje w metrze. Ma wygoloną czaszkę, nie nosi obrączki i – zdaje się – nazywa się Ahmet (przynajmniej tak się przedstawia, odbierając telefon). Nigdy nie zaszczycił Jany spojrzeniem, a kiedy biedaczka obok niego siada, nawet jej nie zauważa. A ją dosłownie skręca. Jeśli któregoś ranka nie ma go w metrze, dla Jany dzień jest praktycznie stracony.

Anne spogląda na niedoszłą dziewczynę Ahmeta.

– Ale gdybyś wiedziała, że niedługo odwalisz kitę, wtedy byś go zaczęła, tak?

Jana kiwa głową.

– Wtedy nie miałabym nic do stracenia.

Oczywiście natychmiast pada pytanie, co takiego nasza beznadziejnie zadurzona przyjaciółka mogłaby stracić, gdyby zagadnęła faceta, a potem nie kopnęła w kalendarz...

– Na przykład dumę! – odpowiada Jana i zaraz dodaje: – Wyobraź sobie, że go zaczepiam, a on mnie spławia!

Tego wieczora okazuje się, że duma znika, kiedy tylko pomyślimy, że mamy deadline. Jeśli niedługo umrę, to...

- nie jestem już zbyt dumna, by zaczepić Ahmeta,
- nie jestem już zbyt dumna, by przyznać się do zazdrości,
- nie jestem już zbyt dumna, by okazać niepewność i strach przed zranieniem.

– ... i mam gdzieś, że inni się śmieją, kiedy paruję po Disneylandzie w kostiumie Małej Syrenki – stwierdza Anne, po czym duszkiem osusza kieliszek.

Wszystkie trzy od razu czujemy, że coś takiego jak duma jest kompletnie pozbawione znaczenia. Tak samo jak wstyd (patrz: kostium Małej Syrenki). Ponieważ w ogóle przestajemy się przejmować tym, co sobie o nas pomyślą inni. A dzieje się tak dzięki tej jednej myśli: jeżeli niedługo umrę...

Wszystko, co chciałabyś zrobić, ale nie pozwala ci wstyd.

[illegible]

**WSZYSTKO, CO CHCIAŁABYŚ
ZROBIĆ, ALE NIE POZWALA CI
DUMA**

**WSZYSTKO, CO CHCIAŁABYŚ
ZROBIĆ, ALE NIE POZWALA CI
WSTYD**

Istnieje znany międzynarodowy symbol tego wszystkiego, czego nie robimy ze względu na dumę: to zgarbiony człowieczek, który na przemian wystukuje na komórce wiadomość (bo tak każe serce) i ją kasuje (bo tak każe duma).

Duma, która odzywa się w nieodpowiednim momencie, to prawdziwa katastrofa. Ta zółza ma na sumieniu miliony numerów telefonicznych, których między sobą nie wymieniono, oraz Bóg raczy wiedzieć ile zerwanych przyjaźni.

Jana na przykład, obawiając się, że jej duma zostanie zraniona, nigdy nie zaczepi Ahmeta, którego widuje w metrze. Nigdy się nie dowie, czy Ahmet to tylko macho z pięknymi oczami, czy też mógłby jej ofiarować coś więcej – na przykład płomienisty romans, a może wielką miłość. Ja z kolei nigdy się nie przekonam, co mogło wyniknąć z relacji z mężczyzną, którego pognałam precz i za którym

nie pobiegłam, kiedy bez słowa odszedł. Mimo że wszystko we mnie krzyczało, żebym go zatrzymała.

Tak! Fałszywa duma to zołza, która nie pozwala nam robić tego, co słuszne.

Kiedy jednak myślę o tym, że za niecałe jedenaście miesięcy wszystko się skończy i odejdę z tego świata, owa duma staje się czymś żałośnie nieważnym. Bo co w ostatecznym rozrachunku naprawdę się liczy? Serce!

Następnego dnia odwiedzamy z Dzieckiem jego kolegę z przedszkola. Chłopcy biegają się bawić w ogrodzie, podczas gdy ja i matka Leona delektujemy się ajerkoniakiem. Prawdziwa idylla. I nagle rozlegają się krzyki. Przez chwilę czekamy w nadziei, że wróci spokój, ale w końcu idziemy sprawdzić, co się dzieje. I co? Widzimy, jak dwóch małych łobuzów okłada się łopatkami do piasku: czerwone twarze, wrzask. Prawdziwy dramat. Wymieniamy z matką Leona spojrzenia, przewracamy oczami i próbujemy rozdzielić nasze bitne koguciki. Chłopcy dosłownie kipią gniewem i każdy próbuje wyklarować swojej rodzicielce, że to ten drugi zrobił coś strasznie, ale to strasznie złego. Coś tak niewybaczalnego, że już nigdy nie zamienią ze sobą słowa.

W kwestii dziecięcych dramatów dzielimy z matką Leona pragmatyczne zapatrywania

i uspokajamy wojowników, nie zagłębiając się w istotę sporu. Dziesięć minut później wciąż widać łzy na policzkach, ale dwaj jeszcze niedawno skłócenii śmiertelnie wrogowie znów bawią się razem, jakby nic się nie wydarzyło. Śmieją się i wygłupiają, że aż odczuwam zazdrość, gdy na nich patrzę. Bo dzieci potrafią się straszliwie pokłócić, a potem jakby nigdy nic wracają do wspólnej zabawy. Widocznie szczęście jest dla nich ważniejsze niż duma.

W drodze powrotnej przypominam sobie przyjaciółkę z młodych lat, z którą wieki temu się poróżniłam. Co prawda łopatki nie poszły w ruch, niemniej nie obyło się bez dramatu. Wkrótce Sarah – bo tak miała na imię ta moja bratnia dusza – wyprowadziła się i spotkałam ją przypadkiem dopiero wiele lat później. Przywitałyśmy się życzliwie, ale z dystansem – i zbyt dużą dozą nieufności, żeby w oczach postronnych obserwatorów uchodzić za nieznajome. Dopiero później uświadomiłam sobie, że nasza postawa miała prostą przyczynę: każda czuła się odrzucona przez tę drugą. Kiedy Sarah urodziła dziecko, zapadła się pod ziemię, żyłam więc dalej swoim życiem, ale w głębi duszy wzajemnie zarzucałyśmy sobie obojętność. Oczywiście żadna tego nie powiedziała głośno. Obie czułyśmy się zranione tym, że ta druga się odwróciła, i obie byłyśmy zbyt dumne,

by powiedzieć: „Tęsknię za tobą”. A kiedy wreszcie Sarah wraz z mężem i dzieckiem wyjechała z miasta, ostatecznie straciłyśmy się z oczu. Mimo to od czasu do czasu o niej myślałam – o tym, jak spędzałyśmy razem szalone noce, po których miewałyśmy potężnego kaca, i że tworzyłyśmy najbardziej pocieszny duet od czasów Flipa i Flapa: Sarah to wysoka, błękitnooka blondynka, a ja jestem niska i mam ciemne włosy. Idealny zestaw. Kiedy pewnego razu złodziej chciał nas obrobić na plaży, Sarah rąbnęła go z góry w łeb, a ja poprawiłam poniżej pasa. Stanowiłyśmy dobraną parę, pod każdym względem.

Gdy po latach sama urodziłam Dziecko i zrozumiałam, dlaczego Sarah swego czasu tak nagle zniknęła, pojęłam też, jak musiała się wtedy czuć. Bo w tym jakże ważnym dla niej okresie w ogóle nie interesowałam się jej dzieckiem (nie tylko jej, bo generalnie dzieci mnie śmiertelnie nudziły), nie przejmowałam się jej problemami i czułam się urażona tym, że mnie tak okropnie zaniedbuje. Ależ ja byłam głupią krową!

Co zatem przez te wszystkie lata powstrzymywało mnie od powiedzenia jej tego? Cóż, po fakcie było mi piekielnie głupio, że okazałam się taką fatalną przyjaciółką. Wstydziłam się i łatwiej mi było

udawać, że nic się nie stało. Na dokładkę znalazłam sobie kiepskie usprawiedliwienie: przecież mogła mi coś powiedzieć! O ludzie...

Stwierdzam zatem, że najwyższa pora pewne sprawy wyjaśnić, i wysyłam wiadomość z pytaniem, czy mogłybyśmy pogadać, bo coś mi leży na sercu. W ten sposób Sarah ma czas się przygotować na falę emocji, która we mnie wezbrała. Umawiamy się na telefon za kilka dni.

– Co chcesz jej powiedzieć? – pyta L., kiedy wieczorem mu o tym wspominam.

Tak naprawdę, to sama jeszcze dokładnie nie wiem.

– Chcę ją przeprosić, że byłam taka głupia. – Wzruszam ramionami. – Tylko jeszcze nie wiem, jak to zrobić.

– Hmmm... – L. kiwa głową. – Mogłabyś powiedzieć: „Przepraszam, że byłam taka głupia”.

Nie jestem zachwycona tym pomysłem. Muszę się przecież jakoś wytłumaczyć, wyjaśnić, jak trudno było mi się przyznać, że czuję się zraniona i odtrącona, że musiało minąć mnóstwo czasu, nim w końcu dostrzegłam swoje winy i zrozumiałam, że ja też ją zraniłam, a jeszcze więcej czasu potrzebowałam na to, by te swoje przewiny uznać, i że dopiero teraz jestem gotowa ją prosić o wybaczenie.

Dlaczego tak trudno nam przeprosić bliską osobę, skoro bez przerwy przepraszamy za byle duperele?

- Kiedy ktoś mówi zbyt cicho: „Przepraszam, nie dosłyszałam”.
- Kiedy ktoś prosi o ogień: „Przepraszam, nie palę”.
- Kiedy kogoś niechcący potrącimy: „Przepraszam!”.

Kiedys mi się zdarzyło, że rozdeptałam na ulicy ślimaka. I wiesz co? Przejęta pochyliłam się nad nim i zawołałam: „Och! Przepraszam!”.

Przepraszamy właściwie odruchowo. Lecz kiedy naprawdę trzeba przeprosić, wolimy milczeć – bo jesteśmy zbyt dumni.

Dzięki Bogu, kiedy Sarah odbiera telefon, wszystko okazuje się całkiem łatwe, bo moja stara kumpela od razu łapie, o co mi chodzi. A potem okazuje się, że nie tylko ja wylewam z siebie to, co naprawdę czuję. Bo oto Sarah również robi coś, na co często nie pozwala nam duma. To znaczy nie bagatelizuje sprawy i nie rzuca oklepanego: „Okej, w porządku,

nie ma o czym mówić”, tylko wyznaje, że tamto moje zachowanie bardzo ją zabiło. Dzięki temu udaje nam się odbudować autentyczną relację.

To wielkie szczęście i naprawdę się cieszę, że – wprawdzie z lekką obawą, ale jednak – umawiamy się na spotkanie. Zobaczymy się, kiedy Sarah wpadnie do rodzinnego miasta. Mimo to, gdy odkładałam słuchawkę, zauważam, że to nie reakcja przyjaciółki na moje przeprosiny wprawia mnie w dobry nastrój, tylko fakt, że zdobyłam się na to, by ją przeprosić. Że zrobiłam to, co mi dyktuje serce. Wiem, że nauczyłam, co w mojej mocy, reszta już nie zależy ode mnie. To wspaniałe, wręcz niepojęte uczucie, więc w euforii z miejsca zaczynam irytować otaczających mnie ludzi – na przykład mówię zdumionej listonoszce, że jestem jej wdzięczna za jej trudną pracę, redaktorce, że ją mam, a wieczorem wyznaję L., że jest najcudowniejszym facetem, jakiego w życiu poznałam.

– Piłaś coś? – rzuca od razu mój książkę. Pytanie nie jest wcale od czapy, bo czuję się, jakbym była na lekkim rauszu.

Jana, gdy nazajutrz wpada na kawę, diagnozuje u mnie lekkiego szmergla.

– Okej, wyznałaś prawdę, no i? To przecież nic wyjątkowego!

Ma rację, ale ta sytuacja uzmysławia mi, jak często unikam szczerości. Może to jest następny „level” – mówić, co mi leży na sercu, a czego tak naprawdę nie chcę powiedzieć?

– Wiesz, o czym myślę? – odpowiadam pytaniem.

– O nie! Na pewno go nie zaczepię! Nie ma mowy! – broni się Jana, ale mnie wcale nie chodzi o Ahmeta. Bo kiedy widzę siedzącą przede mną przyjaciółkę, dociera do mnie, czego jej nigdy nie powiedziałam...

W sumie to dziwne, że Jana czegoś o mnie nie wie, bo dzielę się z nią naprawdę wszystkim. Zna moje lęki i pragnienia, wie o wszystkich relacjach, w których byłam, i w lot odkrywa, co naprawdę myślę, nawet kiedy mówię coś zupełnie innego. Nikt nie zna mnie tak dobrze jak Jana i nikt nie zna Jany tak dobrze jak ja. Z nikim nie śmiałam się tyle co z nią. Wiele też się od siebie nauczyłyśmy, choć czasem zdarzały się kłótnie i zadawałyśmy sobie ból. Jednak zawsze wspólnie przechodziłyśmy przez trudne okresy w życiu każdej z nas i kiedy robiło się naprawdę ciężko, mogłyśmy znaleźć oparcie w tej drugiej.

Ślady jej stóp zawsze biegły obok moich, a kiedy wspominam najgorsze momenty w naszym życiu i widzę ślady jedynie dwóch stóp, to wiem, że wtedy jedna z nas niosła drugą na rękach.

Dlatego to naprawdę dziwne, że jest coś, co dotyczy Jany, a czego nigdy jej nie powiedziałam. I nawet teraz trochę nieprzyjemnie mi o tym mówić.

A zatem... W czasie, gdy ją poznałam – i potem jeszcze przez wiele lat – Jana była na tym świecie sama jak palec. Miała krąg oddanych przyjaciół, ale z rodziny nikt jej nie został. Rodzice i dziadkowie umarli, ciotki i kuzynowie rozproszyli się Bóg wie gdzie, a jej jedyny brat pomieszkiwał kolejno w największych metropoliach na całym ziemskim globie i dzwonił tylko w okolicach Bożego Narodzenia i urodzin. „Moją rodziną są przyjaciele”, mawiała Jana, więc ją adoptowałam i wszystko było okej. A potem nastąpiła taka oto sekwencja zdarzeń:

- Jej brat się ożenił.
- Jej bratu urodziła się dwójka dzieci.
- Jej brat porzucił światowe metropolie i wrócił do naszego miasta.

I nagle się okazało, że Jana ma rodzinę. Oczywiście wraz z rodziną pojawiło się wszystko, co z nią związane: Boże Narodzenie i Wielkanoc, niedzielne wycieczki, wzajemna troska. Jana od czasu do czasu opiekowała się dziećmi brata, a zebranie rodzinne stało się ważną instancją, jeśli chodzi o życiowe decyzje i plany wszystkich członków rodziny.

Być może domyślasz się już, do czego zmierzam. Otóż cieszyłam się szczęściem Jany, szczerze dzieliłam jej radość, ale przede wszystkim byłam piekielnie zazdrosna! Okropne, prawda? Kiedy w związku pojawia się zazdrość, taka maleńka, bez plądrowania pokoi i podobnych ekscesów, można to wyznać ukochanej osobie. To w końcu jakby komplement! Ale w przyjaźni? Człowiek czuje się jak zawistna gnida, a przecież nie chce wyjść na kogoś takiego. Gdybym wyznała Janie prawdę, to tak, jakbym się przyznała, że tym właśnie jestem: jakaś część mnie jest zawistną gnidą. Cóż. Są mniej wstydliwe tajemnice, które człowiek mógłby zdradzić najbliższemu.

Mimo to chwytam byka za rogi.

– Jestem zawistną gnidą!

– Słucham? – Jana spogląda na mnie zdumiona.

Biorę głęboki oddech i zaczynam mówić, lecz Jana w połowie opowieści mi przerywa.

– Wiem o tym, misiu...

Okazuje się, że moja przyjaciółka doskonale odczytała targające mną uczucia i próbowała w tej zagmatwanej relacji tak lawirować, aby nikogo z bliskich nie zranić. Liczyła, że z czasem się wszystko dotrze i stworzymy jedną wielką rodzinę. Jana mówi to i najwyraźniej też czuje, że cudownie jest wyrzucić z siebie prawdę, bo rozochociona zaczyna opowiadać, jak piekielnie zazdrosna była wtedy o Sarah. I inne przyjaciółki, które w pewnych okresach stawały mi się tak bliskie, że Jana bała się, iż straci swoją pozycję. Po tych wzajemnych wyznaniach uśmiejemy się do siebie i następuje moment takiej bliskości, że czujemy nawzajem bicie swoich serc. Jeśli naprawdę mam umrzeć przed upływem roku, to aż do śmierci chcę tylko takich relacji i takiej bliskości. Cała reszta to chłam i strata czasu.

Przypominam sobie o tym postanowieniu, kiedy Dirk zapowiada się z wieczorną wizytą. Tak, właściwie „zapowiada się”. To różni Dirka od innych ludzi, którzy wpadają do nas na kolację: pozostali są zapraszani, Dirk zaś z reguły po prostu zapowiada, że wpadnie.

Chcesz wreszcie odkryć,
co jest w życiu naprawdę ważne?

Chcesz w końcu zrealizować swoje marzenia?

Chcesz przestać martwić się bzdurami
i być szczęśliwą?

**Jest na to prosty sposób:
wyznacz datę swojej śmierci – za rok.**

Brzmi kontrowersyjnie? Zaufaj Alexandrze Reinwarth, autorce bestsellerowej książki „Pieprzyć to!”. Ona dzięki temu zaczęła nowe życie (i niczego nie żałuje!).

Ty też możesz. Od wymarzonego celu dzieli cię **deadline, który zmieni wszystko.**

Zacznij żyć tak, jakby to był ostatni rok twojego życia!
Rób wszystko, na co do tej pory nie starczyło ci czasu ani odwagi. Dbaj o relacje z bliskimi. Spełniaj swoje marzenia. Wybaczaj. Mów otwarcie o swoich uczuciach.

**Masz tylko dwa życia.
Drugie zaczyna się w chwili,
gdy odkrywasz, że masz tylko jedno.**

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-8135-046-4



Cena detal. 39,99 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE